

**R E C E N Z J E,    O M Ó W I E N I A**

MARCIN KULA

*Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie***TYSIĄC SZKÓŁ NA TYSIĄCLECIE  
(AKCJA MIMO WSZYSTKO MĄDRZEJSZA NIŻ INNE)\***

Monografia Krzysztofa Wałaszewskiego została poświęcona akcji budowy „tysiąca szkół na Tysiąclecie”, prowadzonej w PRL w latach sześćdziesiątych. Niektórzy z nas ją pamiętają, niektórzy uczęszczali do szkół wtedy budowanych, inni do dziś mogą oglądać typowe ich budynki. Wszyscy możemy się wiele o niej dowiedzieć z recenzowanej książki. Jest pisana na szerokim tle historii społecznej. Autor nie podąża jedynie ścieżką chronologiczną, co jest nieszczęściem wielu — by nie powiedzieć większości — historyków, ale interesuje go tytułowe zagadnienie i różne „podzagadnienia”. Włącza do analizy wiedzę z bardzo różnych dziedzin: szkolnictwa i wychowania dzieci, architektury, demografii, finansów, stosunków komunistycznego państwa z Kościołem katolickim itd. Zwraca uwagę nawet na rzeczy „ciężkostrawne” dla badaczy historyków, jak kwestie projektowe budynków, dyskusje nad projektem typowym, trudności dostosowania takiego projektu

do różnorodnych jednak działek, także różnorakie techniczne aspekty budowy. Rozważa kwestie inwestorskie i pozyskiwania działek — co jest ciekawe nie tylko dla tej akcji, ale szerzej dla funkcjonowania PRL. Ciekawe są wątki związane z kształtowaniem się fali demograficznej i rynku pracy, które to czynniki głęboko naznaczyły działania polskich władz w latach sześćdziesiątych.

Sam czytałem tę książkę przede wszystkim jako studium przypadku, który stanowi jakby peryskop do przyjrzenia się znacznie szerszym sprawom PRL. Biologowie mawiają, że z kropli wody pod mikroskopem można dowiedzieć się wiele o życiu. W PRL, nawet jak coś sensownego wymyślono (ruch wokół budowy szkół!), to projekt i realizacja były naznaczone tyłma cechami ustroju, że ich badanie może stanowić znakomity pryzmat do szerszego spojrzenia.

Autor przygląda się, jak mogła rozwijać się akcja nominalnie społeczna w rzeczywistości w poważnym stopniu przekreślającej spontaniczną i swobodną aktywność ludzi, a także przy braku samodzielnych organizacji społecznych. Rozważa, jak może rozwijać się spontaniczna akcja budowy czegokolwiek w systemie, w którym materiały budowlane poddane były reglamentacji. Także w systemie, w którym zna-

---

Adres do korespondencji: [j.m.kula@uw.edu.pl](mailto:j.m.kula@uw.edu.pl)

\* Krzysztof Wałaszewski, *Tysiąc szkół na Tysiąclecie. Szkoły Tysiąclecia — architektura, propaganda, polityka*, Dom Wydawniczy Księża Młyn, Łódź 2018, stron 326 (numery cytowanych stron w tekście, w nawiasach).

komita większość zakładów produkcyjnych oraz instytucji była upaństwowiona lub społeczna jedynie pozornie — a zatem włączały się one do akcji, gdy pragnęły tego władze. Jeżeli Marynarka Wojenna dawała pieniądze jako instytucja, to dawała przecież pieniądze budżetowe. Nawet zdawałoby się techniczne — acz fundamentalne — aspekty akcji, takie jak kwestie architektoniczne i inwestorskie, są pokazane ciekawie — jako uwarunkowane przez PRL. W końcu dla podjęcia decyzji inwestycyjnej w tym systemie oraz dla jej realizacji nie pieniądze były najważniejsze — ale stosunek do niej kolejnych sekretarzy i umieszczenie w planie. „Czyny społeczne” były tak samo umieszczane w planach gospodarczych jak wszystko inne. Inaczej mówiąc: budowano, ile było potrzeba, a formę działania nazywano inaczej. Autor zastanawia się, czy akcja „tysiąclatek” wręcz nie zastępowała budowania szkół przez państwo, co było konieczne. Dla prowadzenia akcji jako takiej pieniądze miały znaczenie socjotechniczne. Warto było apelować o ich zbiórkę, a ludziom mogło się zdawać (naiwni!), że one są w tym ważne. Trudno było od ludzi chcieć wytwarzania cementu (no, może jeszcze apel o cegły by się tłumaczył). Nie byliśmy na etapie „wielkiego skoku” w Chinach, gdzie zaapelowano do wieśniaków, by wytapiali żelazo z rud powierzchniowych. Przez zbiórkę pieniędzy realizowano zatem udział „mas” w akcji, a przy okazji zdejmowano nieco nadwyżki z popytu na artykuły codzienne.

Autor natyka się na sprawę mętnych statystyk, ukrywania faktycznego udziału państwa w kosztach. Tak jak we wszystkim w PRL, w całej tej akcji były jakieś ukryte zamiary. O niektórych szkołach myślano też jako o ośrodkach kolonijnych w atrakcyjnych miejscach, o innych jako o szpitalach na wypadek wojny. Inwestycje, nawet te najbardziej leżące władzom na sercu, często napotykały przeszkody bardzo trudne do pokonania. Choćby „gierkówka”, budowana z grubsza w dekadę po akcji budowy tysiąclatek, mimo jak najbardziej zielonego światła musiała pokonywać nieprzezwyciężalne przeszkody, wynikające albo z całego systemu, albo z mnożących się drobiazgów, których nawet Biuro Polityczne nie potrafiło ani przewidzieć, ani usu-

nąć<sup>1</sup>. Z tego punktu widzenia także budowa szkół, czyli akcja bliska sercu władz, a napotykająca mnóstwo trudności, była wymowna dla oceny działania systemu. Ich też nieraz nie zdążono ukończyć w terminie, albo na czas oddawano na niby lub z mnóstwem niedoróbek — jak domy mieszkalne i poniekąd wszystko.

\*

Autor przygląda się „czynom społecznym” wojska i jego roli w całej akcji — a wojsko nie działa przecież spontanicznie. Pokazuje dziwotę akcji nominalnie społecznej, która jest planowana, regulowana przez władze oraz rozwijana według ustalanych z góry wskaźników. Na jej czele stali dygnitarze państwowi, nauczyciele (a więc ludzie zatrudniani przez państwo!) byli jej kośćcem, propaganda przedsięwzięcia nie różniła się od całokształtu propagandy PRL... Wszystko to razem, jak zauważa autor, miało cechy podobne do zbierania podpisów pod apelem sztokholmskim z 1950 roku.

Autor zwraca uwagę na umowność statystyk — na przykład dla zagranicznych wpłat na budowę szkół ustalano specjalny kurs dolara. Rozważa specyfikę w PRL pojęcia „dobrowolna zbiórka pieniędzy”. Establishment chciał dobrowolności składek, ale wymowny był już sam fakt, że ciągle musiał o tym przypominać. W książce czytamy o wręcz kuriozalnych wypadkach żądania wpłacania składek przy czynnościach administracyjnych lub ich odciągania z pomocy przyznanej powodzianom, również o wysyłaniu wezwań do ludzi, by wpłacili pewne sumy. Pojawiały się postulaty opodatkowania posiadania rowerów czy zakupu biletów do teatrów lub kin — ale tego władze już nie zaakceptowały. Poparły jednak organizowanie „niedziel górniczych” pod hasłem wypracowywania środków na budowę szkół (i spróbuj tu nie uczestniczyć, pracując w kopalni!). Akceptowały fakt, że nauczyciele zajmowali się sprawami akcji „do-

<sup>1</sup> Oktawiusz Supiński, „Gierkówka». Budowa trasy szybkiego ruchu Warszawa–Katowice w latach 1973–1976”, praca magisterska napisana w Instytucie Historycznym UW pod kierunkiem Marcina Kuli, w r. ak. 2007/2008.

browolnie” (to notabene wchodzi w szersze, ważne zagadnienie: czego oczekiwano od nauczycieli w PRL).

Jednocześnie ciekawe są zauważone przez Wałaszewskiego nurty spontaniczne, w całej tej akcji w jakimś stopniu jednak obecne — na przykład w „targach” wokół tego, w której wsi ma zostać zbudowana „tysiąclatka”. Akcja uzyskała pewne poparcie, zwłaszcza w wymiarze lokalnym. W końcu budowa szkół była sensowniejsza niż wiele innych „czynów społecznych”.

Cała ta problematyka jest bliska szerszemu zagadnieniu organizacji społecznych w PRL, ostatnio podjętemu przez kilkoro autorów<sup>2</sup>. Artykułowi o Zrzeszeniu Studentów, który kiedyś przygotowałem wraz z moimi studentami, nadałem podtytuł „Między stołówką, klubem i «transmisją do mas»”<sup>3</sup>. Myślę, że ten podtytuł dobrze oddawał nie w pełni jednorodną naturę niejednej wówczas istniejącej organizacji. To, że były one fragmentem całego peerelowskiego mechanizmu, nie ulega wątpliwości. Jednocześnie jednak nieraz pod ich szyldem pojawiała się pewna autentycznie społeczna aktywność. Nie dawało się w nich wyraźnie rozdzielić funkcjonowania jako kółka w nastawionej z zewnątrz maszynie od poniekąd spontanicznie działających ludzi. Ta uwaga odnosi się do wielu dziedzin w PRL. Życie było i jest bogatsze niż modele idealne.

\*

\*

<sup>2</sup>Tadeusz Ruzikowski (red.), *Nie tylko partia? Organizacje społeczne w Polsce Ludowej 1944–1989. Geneza, funkcjonowanie, znaczenie*, IPN, Warszawa 2017; Ryszard Stemplowski, *Zrzeszenie Studentów Polskich w socjalizmie państwowym. 1950–1973*, Scholar, Warszawa 2018.

<sup>3</sup>Stefan Artymowski, Bartłomiej Grudnik, Martin Jung, Marcin Kula, Aleksandra Łuczak, Kazimierz Mazan, Paweł Tomaszewski, Adam Wróbel, Michał Ziątek, *Zrzeszenie Studentów Polskich w latach sześćdziesiątych. Między stołówką, klubem i „transmisją do mas”*, „Teki Historyka”, 2004, z. 24, s. 145–180. Słowa o „transmisji do mas” nawiązują do oficjalnego dyskursu PRL na temat związków zawodowych.

Rozważając kwestię prawdziwie bądź fikcyjnie społecznego charakteru akcji budowy „tysiąclatek”, dotykamy bardzo szerokiego problemu dobrowolności/przymusu w polskim komunizmie. W latach sześćdziesiątych ktoś, kto nie wpłaciłby na szkoły czy nie wziął udziału w „wyborach”, nie poszedłby siedzieć. Większość ludzi pewno jednak rozumowała, że lepiej nie drażnić licha. Lepiej było nie narażać się na kłopoty, nawet nieporównywalnie mniejsze niż więzienie. Zresztą ostre represje z lat stalinowskich dobrze pamiętano; władza była przecież kontynuacją tej dawniejszej i niespecjalnie nawet odcinała się od stalinizmu.

We wpłacaniu składek widać zjawisko typowe dla PRL — należało coś dać, żeby był święty spokój, ale możliwie jak najmniej. Skoro oczekiwane sumy nie były porażające, to można było sobie powiedzieć: niech się władza zaspokozi, jeżeli tak bardzo chce. Trochę to przypominało chodzenie do wyborów. Bardzo ważnym czynnikiem było też patrzenie jak „się” robi (jak robiła większość, jeśli nie po prostu prawie wszyscy). Do tego, by zaczęto postępować inaczej, potrzebna była grupa inicjatywna — władze zaś bardzo uważały, by taka nie powstała (by nie padło hasło, że przecież można nie iść do wyborów). Gdy zaś władza czegoś nie dopatrzyła, to nagle okazywało się, że wszyscy lub prawie wszyscy robią mnóstwo rzeczy jedynie dla świętego spokoju i całość waliła się jak domek z kart.

Ważna jest realizowana w PRL wizja kształtowania człowieka — czemu między innymi miała służyć rozpatrywana akcja. Z jednej strony odzwierciedlała ona dążenie do modernizacji społeczeństwa (edukacja!). W końcu komunizm, a w tym PRL, był projektem modernizacyjnym. Z drugiej strony cały projekt oraz jego element, jakim było kształtowanie „nowego człowieka”, był fundamentalnie ułomny przez założenie, że można modernizować w ramach projektu, który dawało się streścić słowami „za twarz go i do socjalizmu”. Był także projektem źle wykonywanym, w którym *summa summarum* więcej rozwalono elementów starych niż stworzono nowych.

Akcja, o której mowa, miała wychowywać. Pewno miała też mobilizować. Pojęcie akcji jest bliskie pojęciu walki, a ono było fundamentalne dla komunizmu. Jego waga wywodziła się z wizji historii, w której walka klas była podstawowym mechanizmem. Koncepty rewolucji burżuazyjnej i rewolucji socjalistycznej, w ogóle otoczone kultem pojęcie rewolucji, z natury rzeczy zawierały walkę. W wersji stalinowskiej walka miała się zaostrzać w miarę zbliżania się do celu. Permanentnie „walczyliśmy” z imperializmem, z niemieckimi rewizjonistami, o wykonanie planu czy „po prostu” o socjalizm. Podtrzymywanie koncepcji walki, nawet coraz bardziej nominalnej, było też wygodne socjotechnicznie — co zna akurat nie tylko socjalizm. Pod hasłem „akcji” (walki!) można było sprawniej i mocniej mobilizować ludzi i środki — także te z państwowego planu (rozdzielnika). Gdy kiedyś wyraziłem się ironicznie o jakimś „czynnie partyjnym” (rzecz bliska „akcji”!) w rozmowie z akurat prywatnie mi znanym prezydentem niedużego miasta, ten mi powiedział, że nie znam życia (w rzeczywistości mniej elegancko określił moje możliwości intelektualne). Usłyszałem, że on stara się o płyty chodnikowe od dawna bez skutku, a pozyskał je jako potrzebne do wykonania „czynu” ułożenia nowego chodnika.

Różne „akcje” były typowe dla PRL i w ogóle dla tego ustroju — choć, jak najczęściej takie zjawiska, w Polsce realizowano je nieporównanie słabiej niż w ZSRR. Nawet prowadzona przez cały mój okres szkolny zbiórka makulatury miała być nie tylko zbieraniem jednego z surowców wtórnych, ale była „akcją” (uwierzyłem, że zmienił się ustrój, gdy od moich dzieci nie chciano już w szkole makulatury). Akcja budowy szkół była wyjątkowo zręczna z punktu widzenia „akcyjności” (kto mógł być przeciw budowie szkół?). To miało być budowanie szkół na serio. Gdy jakaś poznańska „tysiąclatkę” nazwano imieniem „Jacka i Agatki”, wybuchł skandal. Ale to nie mogło być „po prostu” budowanie szkół. To miała być akcja.

Ciekawe było też odwoływanie się ustrojowego establishmentu do ludzkiej pracy fizycznej. To był wielki temat w historii realnego socjalizmu. „Uświęcone” podejście do pracy było ważne dla jego mitologii i symboliki, także

dla metod wychowania dzieci i młodzieży oraz *sui generis* wychowania dorosłych. Wysiłek własnych mięśni był nawet cenniejszy w akcji budowy szkół niż składka. „Czyn społeczny” był cenny, nawet jeśli — jak pokazuje autor — same władze widziały, że działanie wykonujących go ludzi było niefachowe, a nawet prowadziło do niszczenia sprzętu. Przeciż w dziejach PRL zakłady pracy często nie wiedziały, co zrobić z młodzieżą realizującą „czyny”. Nieraz dawano jej miotły czy łopaty, by sprzątała. Nawet gdyby przyjąć niepewne założenie, że skutkiem było posprzątanie, to takie zepchnięcie młodych ludzi na bok było sprzeczne z ideą „czynu” (wychowania przez pracę).

\*

Ciekawa była rozważana akcja jako wypowiedź o dziejach. Znalazło się w niej sporo elementów typowych dla PRL — jak włączanie w opowieść tradycji wojska. To akurat zdarzało się i zdarza nie tylko za PRL. Wtedy propagowano jednak tradycję Ludowego Wojska Polskiego, poczynając od Grunwaldu. Wojsko miało zaopatrywać biblioteki powstających szkół w „materiały popularyzujące życie i czyny bojowe patriotów”. Wypowiedź o dziejach w postaci budowy szkół była jednak z pewnością sensowniejsza niż ewentualne budowanie jakiegoś łuku triumfalnego czy pomników lub kolumn, czy w końcu — co zrealizowano — przeprowadzenie Defilady Tysiąclecia. Najlepiej jest święcić w użyteczny sposób, co niektóre kraje zrozumiały. Mnóstwo budynków użyteczności publicznej, w tym służących edukacji, na przykład w Izraelu, jest dedykowanych pamięci ofiar Holokaustu. Niestety była to jedna z nielicznych tak mądrych akcji upamiętniających w PRL.

Ciekawe jest umiejscowienie akcji „szkół Tysiąclecia” na tle konkurencji między państwem a Kościołem w obchodach rocznicy chrztu / powstania państwa. Poza doraźnym działaniem akcja miała też wymowę głębszą, nominalnie modernizacyjną. Można było przedstawiać sprawę tak, że Kościół obwoził kopie obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej po parafiach, państwo zaś budowało szkoły dla przyszłości młodzieży. Niezależnie od oceny tej kon-

kurencji — i w całości walki obu sił, na co nie miejsce tutaj — muszę powiedzieć, że w każdym razie budowa szkół była relatywnie sensowniejszym narzędziem działania od aresztowania kopii jasnogórskiego obrazu na przedpolach Warszawy (choć „sens” w ogóle nie jest tu najlepszym słowem).

Akcja była potrzebna do pokazania wielu rzeczy w ramach walki o rząd dusz. Była też potrzebna — jak pochody pierwszomajowe — by rządzący mieli poczucie, że naród ich kocha. Rządzący się samooszukiwali. Czy jednak wszyscy i czy w pełni? Z pewnością nie wszyscy i nie do końca. Samooszukiwało się jednak wystarczająco wielu z nich, by wpłynęło to na każdorazowe zaskoczenie momentami kryzysowymi — aż do ostatniego.

\*

W recenzowanej pracy wyraźnie widać, jak przy całej sztywności sposobów działania PRL ten system potrafił być pragmatyczny, gdy mu to było wygodne. Za PRL niezbyt lubiano lokalność, ale gdy establishmentowi było to wygodne, odwoływano się do działania lokalnego i analogicznej tradycji. Zgodne z marksizmem było to, co pasowało do ostatnich decyzji elity partyjnej. W potrzebie można było więc odwoływać się do wątku narodowego, a nawet go akcentować bardziej niż idee socjalistyczne. W konflikcie Tysiąclecie/Millennium komunistyczny establishment chciał wygrać na swoją korzyść historię narodu, poczynając od

1966 roku. Już niedługo potem PRL przejdzie (stoczy się? spełnie?) na pozycje szowinistyczne (1968). Zwłaszcza za Gomułki wykorzystywano wątki antyniemieckie. Można było być przeciw patriotyzmowi lokalnym i nominalnie internacjonalistą, ale w wypadku „tysiąclatki” budowanej w Kętrzynie wygodnie było przypomnieć, że obok są ruiny kwatery Hitlera (czyż mogło być wymowniejsze przeciwstawienie?). Skoro ówczesny marszałek Sejmu i ludowiec Czesław Wycech był wygodny jako twarz całej akcji budowy szkół, to korzystne stało się przypomnienie jego działalności na polu podziemnej oświaty za okupacji, choć nie prowadził jej w ramach PPR i AL. Wygodnie było dążyć do zjednania sobie Polonii, a więc do wzmocnienia własnej legitymacji, apelując do Polaków zagranicą o składki na szkoły (cóż może być lepszego?!). Następnym narzędziem działań w tym kierunku będzie odbudowa Zamku w Warszawie.

\*

Zjawiskom historycznym warto przyglądać się z szerokiej perspektywy. Warto widzieć je w ich całości, wręcz w ich konstrukcji modelowej. Takie spojrzenie można by porównać do patrzenia z samolotu. Warto jednak też przyjrzeć się im z bliska. W takiej perspektywie też widać więcej niż sprawy jednostkowe. Krzysztof Wałaszewski, przyglądając się jednej akcji i z bliska analizując jej przebieg, stworzył nam taką możliwość.